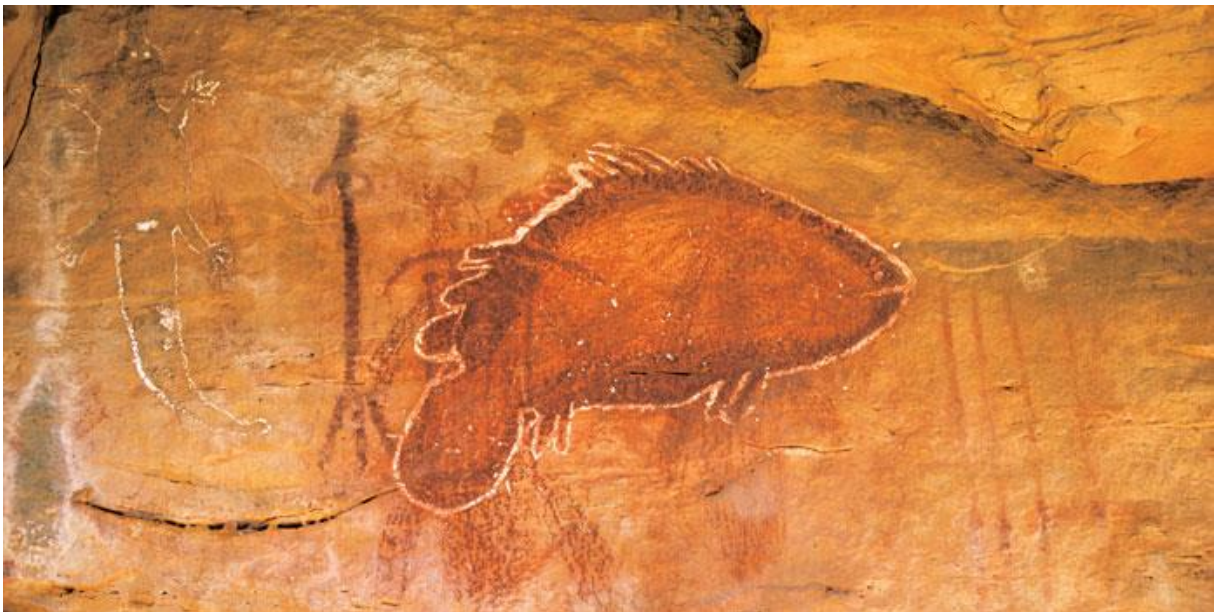


Marcin S. Wilusz

i

Rak

odnowy



Wstęp

Rok 2136. To rok przełomowy. Wiele się zmieniło. Wiele w ludziach dojrzało. Ale czy na dobre? No właśnie. Ale od początku. O tym, co stało się w tym pamiętnym roku. Zacząć trzeba jednak od początku. A początek był w przyglądaniu się i analizie. Ludzi zainteresowało to, co dzieje się z chorymi. Z nieuleczalnie chorymi. No właśnie. Ludzie zauważyli, że jeśli ktoś dostaje nieuleczalnego raka, albo inną chorobę, która jest wyrokiem śmierci – dostaje nowe życie. Tak mówi. Nie jeden. Wielu chorych. Wielu chorych powtarza, że dzięki chorobie dostali nowe życie. Że otworzyli oczy. Że każdy dzień jest teraz wspaniały. Doznali odnowy duchowej. Niektórzy nawet dziękowali Bogu za to co ich spotkało. Za tą chorobę, z którą się zmagają. Za każdy kolejny dzień. No właśnie. I ktoś to zauważył. Że piękno życia, można dostrzec jedynie w obliczu śmierci. I tutaj pojawiło się sławne „a co gdyby tak”. No właśnie. Słowo „sławne” można zastąpić słowem „złobne”. W sumie lepiej pasuje. Tak czy inaczej, ludzie stwierdzili, że może tak hodować w sobie raka. Może tak postawić się w obliczu śmierci. Żeby właśnie zacząć żyć. Żeby doznać odnowy duchowej. Żeby każdy dzień był wspaniały. Nie widzieli innego wyjścia. Bez raka, do końca życia będą żyli smutną codziennością. Zwyczajnością. Tym co tylko powielają. Odtworzeniami. Więc może tak rak. I nowe życie. Krótkie, ale wspaniałe. Fascynujące. Żeby tak żyć w zachwycie, choćby miesiąc. Choćby dziesięć dni. Z takiego wyszli założenia. I faktycznie zaczęli te raki w sobie hodować. Bo kto im zabroni. Sprawa była dość kontrowersyjna, więc podchwyciły to media. A co w mediach, to w głowie. O sprawie dowiedział się cały świat. Że pierwsi śmiałkowie. Hodowcy raków. Że zadowoleni. Że się udało. Że w końcu żyją pełnią życia. I sprawa się rozniosła. I stała się modna. Lekarze podchwycili temat. Zaczęli specjalizować się w hodowaniu raka. Wiadomo, chcieli zarobić. A chętnych nie brakowało. Ustawiały się kolejki, więc trzeba było specjalistów. A lekarz, jak wiadomo, nie może odmówić. Bo wszystko dla dobra pacjenta. Żeby odzyskał piękno życia. Żeby doznał odnowy ducha. Żeby zrozumiał że każdy dzień jest wartościowy. To zaczęli hodować raczyska. I rok 2136. Kulminacja, można rzec. Teraz ludzie się zadłużają, aby stać ich było na wyhodowanie w sobie raka. Zapożyczają się tu i tam. Czekają w kolejkach. Nawet tatuują sobie napisy „rak tego czy owego”, albo zepsute organy. Na przedramieniu. Na dłoni. Tatuują wszędzie. Chcą się pokazać. Że biorą w tym udział. Chcą pokazać że należą do pewnej, nowo powstałej społeczności. Oświeconych pięknem dnia. I za takich się uważają. Ze swoimi rakami. Chorobami. Problemami. Ale piękno dnia im to wynagradza. Podobno. Poznajmy więc historię. Jak to się potoczyło. W tym pamiętnym 2136 roku. No właśnie. Zaczynamy.

Wizerunek pierwszy

Ela szorowała ulice. Dzień i noc. Taką miała pracę. A poza tym męża i dzieci. Nieślubne. Taka moda w dzisiejszych czasach. I za modą lubiła gonić. Więc goni. Więc hodowanie raka. Poszła najpierw sprawdzić czy to możliwe. Jakie są szanse, że rak się w niej prawidłowo rozwinie. Prognozy były pozytywne, więc zastanowienie i decyzja. Specjalista podpisał co trzeba. Podpisała i ona. I pieniądze. Zapożyczone. Wzięta od babci. Która by pożyczyć, sprzedała mieszkanie. Teraz resztę życia spędzi pod mostem. Ale czego się nie robi dla swojej wnuczki. I Ela. Klinika i zabieg. Wszczepienie raka prącia. I zadziało. I zawrzało. Kilka tygodni, i mocno się rozwinął. Chemioterapia i walka z rakiem. Oddział onkologiczny. I podobni jej wyzwańcy. Ale teraz się cieszy. Teraz zrozumiała, że ma dla kogo żyć. Że przyjęto ją do społeczności „oświeceni pięknem dnia”. Nawet to sobie wytatuowała. Na kostce. Żeby było widać. I cierpi. I rak daje o sobie znać. Tak miało być. Ale życie w końcu ma sens. Teraz rozumie czym jest piękno dnia. Każdego. Bez wyjątku. Zawsze płacze, gdy odwiedzają ją dzieci. Gdy mąż przynosi wzory nagrobków. Z jakiego chce kamienia. Jaki kolor. Połysk czy mat. Całe katalogi. Jest w czym wybierać. Jest o co się starać. No właśnie. Z rakiem człowiek stara się bardziej. To kolejna świetna rzecz. Ale po chemioterapii sił mało. Człowiek słaby. Ale zadowolony. Że jeszcze żyje. Że jest kolejny dzień. I jakoś do przodu. Ale sielanka nie trwała długo. Miesiąc po rozpoczęciu leczenia organizm się poddał. Ela umarła. I jej ostatnie słowa: refundujcie raka na życzenie. Dla każdego. Pielęgniarka, gdy to usłyszała, aż się popłakała. Umiera, a myśli o innych. Chce zmienić świat. Jeszcze na łożu śmierci. To charakteryzuje największych. Największe umysły. Co chcą pomagać. Nie przejmują się swoim cierpieniem, tylko walczą o lepsze jutro. Na pogrzebie ludzi mnóstwo. Bo przychodzą członkowie społeczności. Ela była jedną z nich. W końcu. Jakieś przemówienia. Jakieś łkanie. I wrzut do ziemi. Zakopanie, i nie ma człowieka. Ale ludzie ze społeczności też tak chcą. Chcą doznać duchowej odnowy jak Ela. Dlatego zrobią wszystko, zrobią wiele, aby tak jak ona, wyhodować raka. Wszczepić, jakkolwiek. Byleby był. Byleby ich wykończył. Wspaniała idea. Godna roku 2136. To wspaniały rok. Rok wielkiego sukcesu hodowców raka. I rok mody, na tegoż raka. Kto następny? Zobaczymy. Ale przynajmniej sami nie leżymy.

Wizerunek drugi

2136 ciąg dalszy. Edek i jego historia. Zamarzył mu się rak szyjki macicy. A ułożony. Urzędnik. Podbija dokumenty. Spokojne życie. A tu takie marzenie. Ale ma. I próbuje go zrealizować. Chce dołączyć do społeczności. Chce być jednym z „oświeconych pięknem dnia”. Więc próbuje. Więc robi zrzutkę w internecie. Na swoje marzenia. Nie są to tanie rzeczy. I wizyta w klinice. Pobranie próbek do badań. Czy rak się przyjmie. Czy będzie jak trzeba. Po dokonaniu wpłaty dwa miesiące oczekiwania na zabieg. Są kolejki. Trzeba czekać. Więc Edek czeka. Ale się w końcu doczekał. Dostał swojego raka. Rak się przyjął i wykańcza go jak trzeba. Na to właśnie czekał Edek. Na bliskość śmierci. Aby stanąć z nią twarzą w twarz. I stoi. I doszło do niego, że się jej boi. Śmierci. Ale ten strach działa na Edka motywująco. Faktycznie docenia każdy dzień. Faktycznie doznał duchowej odnowy. Teraz codziennie jest w kościele. I przyjęli go do społeczności. Tak jak chciał. Tak jak sobie wymarzył. Nawet potwierdzili przyjęcie postem na facebooku. Dużo osób lajkowało. Dużo osób wspierało Edka. W tej ostatniej drodze. W tym nieudanym leczeniu. Bo co ma się udać przy takim rozpoznaniu. Jak rak złośliwy. Ale taki miał być. Takiego raka właśnie sobie Edek wymarzył. I ma. I płaczą jego bliscy, a on się cieszy. W końcu poświęcają mu czas. W końcu mu współczują. Dostał nawet pomarańcze w szpitalu. To nie byle co. Dobrze być zaopiekowanym. Docenionym. Ale nic nie trwa wiecznie. Walka z nieuleczalną chorobą tym bardziej. Więc nie trwała. Po kilku tygodniach męczarni Edek zmarł. I hopsa do grobu. Ciało wrzucone. Zasypane. Nie ma nawet tabliczki że to Edek leży. Rodzina biedna. Może kiedyś na tabliczkę uzbiera. Ale jeszcze nie ma. A może tak zostanie. Może tak lepiej. Smutny post społeczności „oświeceni pięknem dnia”. Że Edka już nie ma. Że jego wspańiałe chwile z chorobą się już skończyły. Wszystko co piękne... Ale co brzydkie też. I na tym polega życia. Tak przynajmniej twierdzi społeczność. Tak przynajmniej niesie się echem. I zostanie.

Wizerunek trzeci

Tak to jest z tym rakiem. Czasami pomaga. Podobno. A tak przynajmniej twierdzą Ci, którzy chcieliby go mieć. A tym Justicia. Justicia planowała to od dawna. Tak jak powiększenie piersi. Ale to coś większego. Piersi nie były strzałem w dziesiątkę. Więc może wszczęcie raka będzie. Zasadzenie. Poszła więc do specjalisty. Do lekarza. Do „hodowcy raków”. Wzięła katalog, i przegląda wszystkie możliwe raki. Są na każdą okazję. Ale jej uwagę przykuło ogłoszenie „rak dnia – specjalna zniżka”, dwa raki w cenie jednego. Tylko dzisiaj. Grzech byłoby nie skorzystać. No to wzięła. Glejaka i jakiegoś drugiego. Ciężko to spamiętać. Który do czego. W każdym razie wzięła dwa. I oczekiwanie na zabieg. Operację. I zbieranie wielkiej sumy pieniędzy. Kiepsko zarabiała, więc zaczęła sprzedawać swoje ciało. Została prostytutką, żeby zarobić na „odnowę duchową”. Ale nie taką zwykłą. Na zwykłą mówi się „kurwa” i się jej nie szanuje. Ona została prostytutką ekskluzywną. Za wysoką stawkę. Cena za całą noc z góry. Czasami całe weekendy, albo towarzystwo na wakacjach. Rzecz jasna opłaconych. Motywację miała sporą, bo i cel szczytny. Tak jej się wydawało. No więc leci. I zbiera. I uzbierała. I doczekała się operacji. Dwa raki wszczęte. I chodzi zadowolona. Na leczenie. Bo jak rak, to i leczyć trzeba. Nie ma żartów. Zdążyła jeszcze zrobić tatuaż. Że wybrała raki. Że wybrała „oświeconych pięknem dnia”. I dołączyła do tego szczytnego grona. Przyjęli ją standardowo, postem na facebooku. Że jest. Że kolejna śmiałkini. Że się stara walczyć z chorobą. Ale już wie. Wie jak wygląda piękno każdego dnia. Bo docenia ten krótki czas który jej pozostał. Bo zmienia się każdego dnia na lepsze. Ale czy lepiej się da, skoro jest idealnie? Skoro ma to, na co tak długo czekała. Bliskość śmierci. I zrozumienie, jak wielkie życie ma sens. No to odlicza. Od leczenia do leczenia. Kolejne wizyty w szpitalu. Kolejne zapaści. I koniec. Kilka tygodni wystarczyło. I po sprawie. Wszystko zamknęło się w jednym, tym pamiętnym 2136 roku. No właśnie ten rok. Rok pożegnać. I wiedzy ile warte jest życie ludzkie. No właśnie. Można powtarzać w nieskończoność. Nawet trzeba. Wypada. No właśnie.

Wizerunek czwarty

Tak to się składa. Jednym lepiej, drugim gorzej. Stefanowi było że gorzej. Bo codzienność dnia. Bo ciągle to samo. Bo nic go nie zaskakuje. I to go dobija. To „bez zaskoczeń”. No to wskakuje w temat raka. W 2136 roku to modne. To najczęstszy sposób ucieczki. I ludzie uciekają. W to. I cierpią. Byleby zaznać chwili uniesienia. Chwili duchowej odnowy. I Stefan zaznał. Ale wcześniej musiał sprzedać telewizor i meble. Zostawić psa w schronisku. Trzeba był ciąć koszty, aby uzbierać na wszczepienie raka. I uzbierał. Ile trzeba. I wizyta u „hodowców raka”. U specjalistów. I operacja. Wszczepianie. Na całe szczęście nie trzeba podlewać. Przyjmuje się bez trudu. Tak to jest z tymi rakami. To co złe, łapie się bez jakiegoś doglądania i pielęgnacji. Złu niewiele trzeba. I Stefan cierpi. Jak chciał. Rak płuc daje się we znaki. Zabiegi, prześwietlenia, inne takie. By ratować. Ale sytuacja jest beznadziejna. Stefan jednak o tym nie myśli. Cieszy go tatuaż na przedramieniu. Że jest jednym z „oświeconych pięknem dnia”. I tym się chełpi. I tym się szczyci. Zadzwoił nawet do wszystkich znajomych. Pochwalił się. Bo okazja. Bo tyle się dzieje. Taki szum. Takie docenienie czasu który mu pozostał. Każdego dnia. Tak się stara wykorzystać ten czas. Tak próbuje pokazać, że jego wybór był właściwy. No bo tak to jest z wyborami. Jak już na coś się zdecydujemy, to bronimy podjętej decyzji. Rok tu nie ma znaczenia. Taka natura ludzka. Po prostu się obstaje przy swoim. Że moje, to właściwe. I Stefan obstawał. Przynajmniej dopóki żył. A długo już nie żył. Taki rak wyniszcza szybko. I wyniszczył tak jego. Też. Jak wielu innych. I wykończył. Grób. Zasypywanie. Klika osób ze społeczności „oświeceni pięknem dnia” przyszło zobaczyć. Ale żeby chociaż wieniec kupić, to nie. Tak tylko. Żeby zdjęcie pamiątkowe. Żeby odhaczyć że byli. Że niby żegnają „swoich”. No to pożegnali. A co Stefan teraz myśli? Po śmierci. Czy było warto? O to już nikt nie zapyta. W ogóle się zmarłych nie pyta, bo jeszcze by coś powiedzieli. Tak bezpieczniej. Pytań brak. Co się stawia. I zostawia. Na wieki. Wieków amen.

Wizerunek piąty

Tak to się składa, i tak zostanie. Jest 2136. I on. I Rafał, który oczekuje zmiany. To życie, które prowadzi, już go nie bawi. Już mu nie wystarczy. Chce spróbować innego. Uciekał w używki. W narkotyki. W samobójczą jazdę na motocyklu. Przeżył. Ale co to za życie. W każdym razie mu nie wystarcza. A więc „akcja rak”. Zrobił rozeznanie. Był w klinice na badaniach. Czy go zakwalifikują do wszczepienia raka. Czy się nada. Czy organizm pozwoli. I pozytyw. Rafał cały tydzień chodził zadowolony. Bo się uda. Bo będzie rak i odnowa duchowa. A później czekanie. Dwa miesiące, na operację. Z tym czekaniem to jest jak z łapaniem królika. Ważne żeby łapać, a nie złapać. Gdy już złapiesz, zabawa jest podła. Chodzi o to żeby łapać. I chyba podobnie było z czekaniem Rafała. Podniecenie rosło z dnia na dzień. Aż ten dzień. I było. I bańka pękła. Nic wielkiego, poza bólem. Tak jak to operacja. A później rak się przyjmuje i zaczyna działać. Zajmuje kolejne organy, aż któryś przestaje działać. I koniec. Ale przed końcem były emocje. Bo przyjęli go do społeczności „oświeceni pięknem dnia”. Bo lekarze, „hodowcy raka” kiwali z szacunkiem głową. Tak. Ten jest odważny. Kolejny człowiek, który chce czegoś więcej. Nie tylko życia z dnia na dzień. Nie zadowala się codziennością. I Rafał się nie zadowolił. I chciał czegoś więcej. I dostał to co chciał. Ale ostatecznie nad swoim losem zapłakał. Gdy wątroba przestawała pracować. Nie musiał na to długo czekać. I ta łza. Łza zrozumienia. Że może jednak to zwykłe życie nie było takie złe. Że może jednak jeszcze jedna szansa. Ale nawet nie wiedział kogo o nią prosić. Nikt mu nie powiedział. Zresztą nie było czasu ani możliwości drugiej szansy. By zacząć od nowa. Mleko już się rozlało. A szklanka się przewróciła. Szybka śmierć. Ale bolesna. I smutny pogrzeb. Cieszyli się tylko „hodowcy raków”, którzy patrzyli na stan swojego konta. Tak to się kręci. Tak się zarabia. W 2136 roku.

Wizerunek szósty

Rok 2136. Imprezy ciąg dalszy. I pokuszenia. I ludzie się łapią. I w to brną. I kolejny – Stefek, z marzeniem o raku. Bo ile można w codzienności. Ile można w starej biedzie. Niektórzy mówią „stara bieda” i się w tej biedzie odnajdują. Stefek nie. Stefek biedę uważa za przegraną. I to sądzi o własnym życiu. Że je przegrał. A chce wygrać. Więc idzie po raka. Myśli, że to zapewni mu zwycięstwo. A czy tak będzie? Cena wysoka. Musi sprzedać dom. Zostanie na wynajmie, czy coś. Nie martwi się o przyszłość. Z rakiem nie żyje się przecież długo. To co się będzie martwił. Zakasał rękawy i do kliniki. Z workiem pieniędzy. Badania, i – zakwalifikowany. I nadaje się do wszczęcia raka. „Hodowcy raków” w siódmym niebie. Kolejny którego da się skroić. I do boju. Kilka tygodni oczekiwania i krojenie. I wszczęcie raka. Tym razem rak potylicy. Czy coś podobnego. Mylą mi się te nazwy. Ale to nieistotne. Ważny jest efekt. Ważne, że rak działa, i wykańcza człowieka. I w tym przypadku nie było inaczej. Ale wcześniej przyjęcie do społeczności „oświeceni pięknem dnia”. I tatuaż. Tatuaże w modzie. Żeby pokazać. Żeby wszyscy zobaczyli że należy się do tej społeczności. Stefek z dumą ściąga koszulkę na plaży, aby pokazać tatuaż. Wszem i wobec. Patrzcie, mam raka. Patrzcie, teraz doceniam każdy dzień. Teraz każdy mój dzień jest piękny i wyjątkowy. Bo może być moim ostatnim. Bo pomaga mi zrozumieć tajemnicę istnienia. Tak wbił to sobie do głowy Stefek. Chyba rak za mocno naciska. I człowiek głupieje. W każdym razie, nawet głupcy nie żyją wiecznie. I Stefek był na to przykładem. Umarł szybko, ale w męczarniach. Bo tak trzeba. Chłopaki nie płaczą. Chyba że umierają. Za wcześnie. Zbyt nachalnie. Niepokrojeni. Bo dobrze, gdy człowiek jest pokrojony. To znaczy, że latami odkrawa kawałeczek po kawałeczku i rozdaje ludziom. Siebie. I po latach, gdy pokroił i rozdał całego siebie- może umrzeć. W spokoju. To jest ciche i piękne umieranie. Umieranie pokrojonego. A gdy nagle, i z rakiem. I to jeszcze wymarżonym. Mówią „co nagle to po diable”. A gdy temu diabłu jeszcze płacisz. Za jego czas. Za jego chęci. To jesteś idiotą. Albo tylko średnią wypadkową człowieka z 2136 roku.

Wizerunek siódmy

No i powrót. Na salony. I jest Gloria. Gotowa na raka. O nim marzy. O nim nie może zapomnieć. Chce go. Potrzebuje. Myśli o nim nieustannie. O tym duchowym doświadczeniu. O tym że może doznać sensu. Sensu życia. Sensu oddychania. I wzdychania. Więc wzdycha. I zbiera pieniądze. Potrzeba dużo. Wszczepienie raka tanie nie jest. To nie są tanie rzeczy, jak mówi klasyk. Ale uzbierała. Trochę nakradła. Trochę pożyczyła. Kto by się tam martwił oddaniem. Bo i po co. Ważne jest „tu i teraz”. Ważne że wsadzą w nią raka. Nowe życie. To lepsze niż dziecko. Mówi się, że dziecko, to nowe życie. Ale to coś więcej. Dziecko z kobiety wychodzi i zaczyna żyć po swojemu. A rak w kobiecie zostanie. Już do końca. To drastyczne, ale trwałe połączenie. Gloria czuje podniecenie. Badania, termin, wszczepienie, zapłata. A może zapłata wcześniej. To nawet oczywiste. Bo co gdyby się nie udało. Gdyby coś poszło nie tak. A tak, to już opłacone. Wszystko gra. Można balować. Więc Gloria baluje, z rakiem tchawicy, czy inny, dziadostwem. Ważne że boli. Ważne, że poczuła, że zostało jej niewiele życia. Bo rak się przyjął. I są przerzuty. I jest impreza. I tatuaż, rzecz oczywista. Przyjęcie do oświeconej społeczności „oświeceni pięknem dnia”. Więc świeci. Nie mnie sądzić czy to dobrze. Bliscy płaczą. Znajomi zawodzą. Szkoda kobiety. Szkoda Glorii. Wiodła spokojne życie. Po co jej to było. To całe raczysko. Ta cała męka. Teraz jakieś naświetlania i inne dziwy. Ale wiadomo, że to walka z wiatrakami. Z góry przegrana. To tylko kwestia czasu, i rak wykończy. I wykończył. I nic nie zostało. I Glorii już nie ma. Został nagrobek, i wpis na facebooku. Wpis „oświeconych”. No właśnie. Czy wypada. Gloria już się nad tym nie zastanawia. Niewiele po niej zostało. Tylko jakieś wspomnienia tych którzy ją znali. Tylko jakieś powidoki. Decyzji. Straceńczych. Myśli. Które doprowadziły do katastrofy. Ale dostała to co chciała. Zrozumiała, że życie jest krótkie. Że nie ma co. Trzeba żyć. Szkoda że tego życia miała już tylko garstkę. Ale taka moda. Ale takie wygibasy. Ludzi z 2136 roku. Dzieje się. I nie widać, żeby przestało. No to basta.

Wizerunek ósmy

No to się chłodzi. Piwo w lodówce. Ale Benkowi piwo już nie wystarcza. Nie czuje chęci do życia. Powtarza, że potrzebuje odnowy. Nowego ducha. A przynajmniej umytego. Jak nowego się nie da. No właśnie. Nie wszystko się da. Ale w 2136 roku da się wszczepić raka. I ludzie sobie wszczepiają. I na taki krok decyduje się też Benek. No właśnie. Ale żeby na to zapracować – zatrudnia się w kamieniołomie. Kruszy kamienie. Z czasem wyrabia ponad normę. Stachanowiec. Są za to premie. Więc kupka się składa. Grosz do grosza, i będzie na raka. Wizyta w klinice. Terminy. Żona odciąga Benka od tego zamiaru. Mówi, że zniszczy sobie tym życie. Że ma dla kogo żyć. Ale Benek nie słucha. Odnowa duchowa jest dla niego ważniejsza. No bo właśnie. Ten cały duch. Zaśniedziały. Nie działa. A powinien. To po raku zaczniesz. A przynajmniej taką teorię ma Benek. Tak t sobie wykoncypował. Ale co to słowo znaczy. Benek lubi zastanawiać się nad znaczeniami słów których nie zna. Dorabia do nich historie. To jak z rakiem. Zanim go sobie wszczepisz jest taką niewiadomą. Może nawet trochę romantyczną. Bo w wizji cierpienia jest romantyzm. Ukryty. Dopóki do niego nie dojdzie. Do cierpienia. Dopóki nie zaczną się męczące bóle, i trudy leczenia. Osłabienie. Utrata kontroli nad ciałem. No ale, komu w drogę.. temu raczysko. Benek udał się na zabieg. Na operację. Wszczepili mu guza mózgu. Był trochę zawiedziony, bo guz a nie rak. To gorzej brzmi. Ale się przyzwyczaję, pomyślał. Zresztą ludzie nie muszą wiedzieć na co umieram. Ciągnął wywód. I tak właśnie było. Każdemu mówił że ma raka. I mu współczuli. To fajne uczucie, gdy ludzie potakują z niedowierzaniem. Tak? Naprawdę? Masz raka? Aż serce rośnie. Że innym się kraje. I tak to właśnie z Benkiem było. Informacja na facebooku nie wystarczyła. Objechał całą rodzinę. Znajomych. Wszystkich. Tylko po to, aby powiedzieć- patrzcie, mam raka – umieram. Czy to nie zatrważające? Czy nie macie od tego gęziej skórki? I tak. Zmieniło się Benka życie. Odkąd choruje. Odkąd umiera w przyśpieszonym tempie. I przyjęcie do „oświeconych pięknem dnia”. Fajnie że wspierają. Codziennie wysyłają smsa z pytaniem czy delikwent żyje. Lubią być na bieżąco. Musi być porządek w papierach. Benek, nie mówiąc nic żonie, przepisał na „oświeconych” mieszkanie i samochód. Muszą przecież mieć za co parzyć sobie rano kawę, pomyślał, i tak zrobił. Przepisał. A dzień później już nie żył. Wylew, pęknięcie guza, czy co innego. A kogo to obchodzi. Ważne że trup. Napisał jeszcze list. Coś w stylu „żyłem jak król”. Tylko królowie zostają zapamiętani. A Benek nie zostanie. Nie został. I nie przejdzie. Takie wymogi hałasty. Przechodzenie surowo wzbronione.

Wizerunek dziewiąty

Pod koniec roku „hodowcy raków” podnieśli cenę. Nie ma że promocja świąteczna. Nie ma, że boli mniej. Boli więcej – za drożej. Takie wymyślili hasło reklamowe. I zamiast ludzi odstraszyć, przyciągnęło nowych chętnych. Chętnych na wszczęcie raka. Na zasadzenie. Jak żółędzia na polanie. Tak to już jest. I jest Eustachy. Eustachy zatrudnił się jako poławiacz pereł, aby zarobić na raka. Pracował dzień i noc. W trudnych warunkach. Pod wodą. Narazając się na ataki rekinów. Nawet one go nie odstraszyły. Nie przekonały, że nie warto ryzykować. Eustachy ryzykował jak się tylko dało. Byleby zarobić na raka. Aby doznać odnowy duchowej. Aby jego życie nabrało sensu. Bo jak twierdził, szkoda życia na życie bez raka. Bez czegoś co Cię zabija. Bez czegoś co przypomina jaką to życie stanowi wartość. Co kto woli. Co kto lubi. Można rzec. I tak właśnie. Badania. Zakwalifikowanie do operacji. Wszczęcie raka. I radość. Otworzenie oczu na oddziale. Pierwsze spojrzenie po tym, jak rak już w środku. Na miejscu, jak niektórzy sądzą. I świat niby taki sam, a inny. Coś się zmieniło. Coś w środku jest nie tak. W człowieku. I da się to odczuć. Ten strach który wychodzi na powierzchnię. Przez skórę. I tak. I życie. I inne spojrzenie. Docenienie. Bo chyba o to chodzi w życiu. O to żeby życie docenić. Wtedy się cieszy. Wtedy jest uśmiechnięte. Z życiem jest jak z kobietą. Trzeba mu prawić komplementy. Trzeba doceniać i obdarowywać. Pamiętać o nim. A na co dzień zapominamy. Żyjemy, a nie pamiętamy o tym po co. Dlaczego. I że jest to faktem. Nikogo nie dziwi własny oddech. Uważamy to za coś oczywistego. Że oddychamy. Że tak ma być. Dziwimy się dopiero gdy oddychać przestajemy. Ale nie mamy dużo czasu na zdziwienie, bo bez oddechu szybka śmierć. No właśnie. Człowiek dziwi się dopiero gdy umiera. Że coś nagle zagrało inaczej. Albo grać nie chce. Znudziło się. Życiu. I kopnęło w dupę delikwenta. I tak właśnie jest z Eustachym. W końcu docenił życie. I żyje, pełną parą. I baluje. Tanie dziwki i jeszcze tańszy kokos. Kokainy w kokainie może 20 procent. A reszta wspomagacze. Albo inaczej mówiąc rozcieńczacze. Tak czy inaczej trzepie człowieka. Eustachego. I nawet dobrze nie zaczął się leczyć, a już padł na zawał serca. Serce nie wytrzymało maratonu. Tak to jest z maratonami, jak zabiera się za nie ktoś nieprzygotowany. Wszystko trzeba stopniowo. Z umiarem. A nie na chybcika i do upadku. Na przełaj. Tak się nie robi. Eustachy nawet nie zdążył sobie zrobić wiadomego tatuażu. Ale „oświeceni pięknem dnia” o nim pamiętali. Zapisali w kartotekach. Pomimo tego, że to nie rak go wykończył. Ale finał jest. A rak był. Wszystko się zgadzało. Eustachy poczuł że zbliża się koniec. Przeskoczył poprzeczkę. Szkoda tylko że wylądował w ostrężynach. Pod koniec tego pamiętnego 2136 roku księża wymyślili też, że trzeba walczyć z plagą wszczęć raków. I zdecydowali, że nie będą chować członków „oświeconych pięknem dnia” pod krzyżem. Że tylko pogrzeb świecki. Ale, jak nietrudno się domyślić, to nic nie dało. Podniesiona cena, brak religijnego pogrzebu, ludzie mają to gdzieś. Byleby poczuć sens. I ostrężyny. No właśnie.

Wizerunek dziesiąty

Henio był zapalonym zmywaczem. Zmywał wszystko co się dało. Farbę ze ścian. Lakier z paznokci. Krew z tylnego siedzenia. Bo taksówkarz. Bo dowozi. O hodowaniu raka dowiedział się od jednego z klientów. To zaczął rozwozić pizze. Na tym większy zarobek niż na ludziach. Pizzę lubi każdy, a ludzi mało kto. Pizza tyle nie gada. Nie oszukuje. Nie prowokuje. I dają za nią większe napiwki. Ludzie są szczęśliwi gdy widzą pizzę. Więc dają. A jak dowozisz kogoś do roboty, albo na spotkanie. To nerwy i strach. Mniejsza ochota rozdawania pieniędzy. Tak to już jest. Henio czekał, i się doczekał. Zarobił na raka. Może tego z tańszych, ale jednak. Bo raki mają też swoje cenniki. Są droższe i tańsze. Są takie które męczą człowieka dłużej, albo zabijają od razu. Bolą więcej, albo mniej. To trochę jak w restauracji. Idziesz zamówić pizzę, i przebierasz w rodzajach. Taka, owaka. Tak samo, jak z rakami. Ale Henia stać na najtańszego. Raka skóry. I taki miał być. Ale pomylili mu coś w zamówieniu, i wyszedł rak krwi. Henio nawet się cieszył. Zapłacił za tańszy, a dostał droższy. Ale rak krwi to nie przelewki. „Hodowcy raków” nawet chcieli coś zmieniać. Naprawiać na swój koszt. Ale Henio żył się już ze swoim rakiem krwi, i chciał zostawić jak jest. Tak postanowił. Więc tak zostało. Zostało jak umiało. I będzie. I jest. Leczenie. Męka. Ale i przyjęcie. Do „oświeconych pięknem dnia”. I tatuaż. Po nim od razu człowiek pozna z czym ma do czynienia. Henia zaprosili nawet do audycji radiowej. Tak. 2136 rok, a mają radia. Bo dlaczego by nie. Radio jest fajne. I Henio opowiadał. O tatuażu. O społeczności. O tym że widzi więcej. Że teraz rozumie. Jest oświecony. Że życie ma sens. Że trzeba je szanować. Ale nie zauważa, że skracanie sobie życia raczej szacunkiem nie jest. I tak to właśnie wygląda. Ludzie wiedzą jak ma być, ale robią na odwrót. Nawet mówią i zachwalają dobre, a pchają się w złe. Myśląc że to złe, takie złe nie jest. Że jest jak ma być. Ale u Henia nie było. Było na opak. I go to męczyło. Przed śmiercią postanowił się nawet wypowiedzieć. Że zgrzeszył tym rakiem. Że to atak na „nie zabijaj”. Że po co to wszystko. Że żałuje. Ale ksiądz był urojony. Wypowiadał się zjawie. Marze. Ksiądz się spóźnił. Z ostatnim namaszczeniem i możliwością odpuszczenia win. Gdy przybył, Henia już nie było. Zostało po nim truchło. I tak skończyła się historia naszego bohatera. Jednego z „oświeconych pięknem dnia”. Niby poczuł wartość życia, ale zapłacił za to najwyższą cenę. Piekło.

Wizerunek jedenasty

Sofokles. Tak go nazywali. I dawali mu często popalić. Ludzie. Był odrzucony. Pogardzany. Podaj, pomóż, pozamiataj. Nic co ważne. Nic co istotne. Ludzie spychali na Sofoklesa najczarniejszą robotę. Albo najmniej znaczącą. Może wynikało to z jego postawy życiowej. Z niezdecydowania. Z wycofania. A może tak było mu pisane. Żeby przejść tu na ziemi coś w rodzaju męki. Albo testu. To się zresztą nie wyklucza. No właśnie. I Sofokles postanowił sobie ulżyć. Ulżyć rakiem. Pomyślał, że dzięki temu będzie szanowany i doceniony. Ludzi z rakiem się przecież szanuje. No to i mnie uszanują, pomyślał. I poszedł do kliniki. I zrobił niezbędne badania. Zakwalifikowany. Wszczepienie za dwa miesiące. No i dobra. To teraz zbierać kasę. Zatrudnił się więc przy zbiorach jogurtów. Takich co to do nich później dodają owoce. A czasem nawet nie. Robota lekka. Jogurty nie ciężkie. A przy okazji można coś podjąć. Nie trzeba zbierać na kolanach, czy na schyłka. Jogurty aż proszą się aby je zerwać, i wrzucić do koszyka. Można zarobić. To zarobił. I udało się. I jest cała suma. No więc operacja. I wszczepienie raka. Obwodowego, czy jak mu tam. Ważne że boli. Ważne że daje o sobie znać. Że się rozpęda. Gdy rak się rozpęda, człowiek zwalnia. I tak właśnie zwolnił Sofokles. Przywitany darmowym tatuażem, i przyjęciem do „oświeconych pięknem dnia”. Ale gdzie ten szacunek? Sofokles wszędzie go szuka. Nie może znaleźć. Pod kamieniem. Pod płytą pilśniową. Nie ma. Nigdzie nie ma tego cholernego szacunku. Ludzie jak go nie szanowali, tak nie szanują go dalej. Jeszcze się z niego śmieją. Wytykają palcami. Że dał się wkręcić. W modę na raka. Że jest głupszy, niż myśleli. Może coś w tym jest. Racji, albo degradacji. W każdym razie się zwija. I rak daje o sobie znać. Leczenie niewiele daje. Zresztą na leczenie już nie zarobił. Sezon na jogurty się skończył. Teraz tylko się zadłuża. A każda strzykawka kosztuje. Każdy opatrunek. I inne naleciałości. Nie było to jednak długie leczenie. Ważne że nieudane. Na pogrzeb też nie wystarczyło. Trzeba było księdza prosić. Składkę w kościele robić. Jakieś puszki, inne rzeczy. W dawnych czasach wyrzuciliby go do rzeki. Spalonego lub nie. A teraz. W 2136 roku to nie legalne. Trzeba chować. Zakopywać. A to kosztuje. No więc jest. Zakopany. A taki był Sofokles cwany. Chciał szacunku. A dostał jedynie pusty śmiech. Losu i okoliczności. W społeczności.

Wizerunek dwunasty

Sprzączek – bo tak go nazywano. Dowiedział się o hodowaniu raka od kolegi. Bo kolega kolegi sobie wszczepił i był zadowolony. Nawet jakieś podziękowania podobno pisał do hodowców raków. Pisał i się żalił, że nie wszczepił sobie dwóch. Żałował. To by dopiero miał ubaw. Co dwa raki to nie jeden. Ale wracając do Sprzączka, to usłyszał i zapamiętał. Tak to czasem jest. Usłyszymy coś i nie reagujemy jakoś specjalnie. Wiadomość zaczyna w nas żyć. Kiełkuje. I po jakimś czasie ożywa na całego. I się w to ładujemy. Tak jak załadował się Sprzączek. Bo kto mu zabroni. No właśnie. Państwo nie zabrania. A gdyby tak ustawowo... Ale są czasy wolności. W 2136 roku państwo prawie niczego nie zabrania. Nie kontroluje. Róbta co chceta. Na własną odpowiedzialność. Są jeszcze ludzie, którzy chcieli starego. Jak aborcja, czy narkotyki były zakazane. Ale to już praktycznie wymarły gatunek. Katole, czy wierni wyznawcy innych religii. Niewielu ich zostało. Ale są. Tyle że nie przy Sprzączku. Sprzączek się otaczał zawsze ludźmi nowoczesnymi. Wyzwolonymi. Takimi wolnomyślicielami. Czasem nawet Masonami. Bo kto komu zabroni. Czasy się zmieniają, a masoni zostali. Tylko jakoś nie ciągną do „oświeconych pięknem dnia”. Chyba dla nich to za dużo. Zresztą nie mnie rokować. Jest Sprzączek. I jego nowa praca. Zatrudnił się w windykacji staruszek. Można na tym zarobić. A on pieniędzy potrzebuje. Na gwałt. Nie. Na raka. Raczej. No to zarabia. Uczciwie czy nie- pieniądze przynosi. W windykacji pracuje się za prowizje. Ile wyszarpiesz – tyle zarobisz. Znaczą się części. No i dobrze. No i jest. Niech staruszki cierpią skoro miały odwagę się zestarzeć, myśli Sprzączek, i windykuje. Po kilku miesiącach było już go stać. No to klinika. Badania. Wszystko standardowo. I rak. Rak szarych komórek. Bo kto powiedział że szare komórki nie mogą mieć raka. Mogą. A według Sprzączka- nawet muszą. I ma. I wszczepili mu raczysko. Hodowcy raków. Wykwalifikowani specjaliści. Lekarze. Jakby rzec. No to jest, i się bawi. Ale z rakiem szarych komórek nie jest łatwo. Już przed wszczepieniem nie należały do najbardziej lotnych. A teraz. Jeszcze z rakiem. To już całkowicie zgłupiały. Dzień po wszczepieniu przekonali Sprzączka, że najlepszym rozwiązaniem na poznanie sensu życia jest jego strata. Namówiły Sprzączka żeby skoczył z mostu. A ten idiota skoczył. Uwierzył dwóm szarym komórkom zarażonym rakiem. Bo więcej ich nie miał. Ale to i tak chyba o dwie za dużo. I to w zasadzie byłoby na tyle. Nie było czego tatuować. Trupów się nie tatuuje. Oświeceni pięknem dnia przyjęli tą wiadomość z lekkim niesmakiem. No bo trzeba tym dniem się cieszyć. Choć przez chwile. A nie słuchać dwóch szarych komórek, które gadają od rzeczy. Ale tak. Nie ma inaczej. Witamy w 2136 roku. A może jednak go żegnamy!?! Kto to wie.

Bez skazy

Kończy się 2136 rok. Przychodzi nowy. 1szy stycznia. I Anioł, który pofatygował się na ziemię. Miał tego serdecznie dość. Tego co tu się odwała. W tym pamiętnym roku. Jak się to rozhuštało. A więc postanowił zainterweniować. Zwołał konferencję prasową i mówi: „W głowach się Wam popierdoliło! Z tymi rakami. Kto to widział. Aby wybierać śmierć, by doznać odnowy. Aby decydować się na skrócenie sobie życia. To jakiś absurd. W niebie nikt nie słyszał większej bredni. A wystarczy zejść na ziemię, i proszę. Jest i działa. Moda jego mać. Dajcie żesz spokój. Ogarnijcie głowy. Jeśli szukacie odnowy duchowej, to do kościoła, czy innej synagogi. Nie podoba wam się ta religia, to wybierzcie inną. Ale wybierzcie. I bądźcie pobożni. W religii jest odnowa. Świeża krew i uniesienie. A nie jakieś brednie. A nie skracanie sobie życia. Stawanie nad przepaścią. Widmo końca. Koniec to nie motywacja, tylko przerażenie. Strach pozostania samym. Strach przekroczenia. Nie idźcie tą drogą. Wyrzućcie wasze kiełkujące raki do kosza. Nie wszczepiajcie ich ludziom. Opamiętajcie się. Żeby nie nazwali was w zaświatach głupcami. Tymi, którzy bali się żyć. I wybierali śmierć. No właśnie. Drugi raz nie przyjdę. Róbcie co uważacie.” Ktoś przed telewizorem: ale kto to widział. Żeby Anioł szukał uwagi przez konferencję prasową. Aby wtrącał się w nasze sprawy. Z rakami nam do twarzy. A religie? Zabobony jakieś. Anioł pewnie podstawiony. Opłacony. Przekupiony. A hodowcy raków wykwalifikowani. Dyplomy mają. Poza tym ludzie nie mogą się mylić. Tylu zdecydowało się na wszczęcie sobie raka. To musi coś znaczyć. To musi coś dawać. Poczucie odnowy. A te religie, to jakieś wiatrzysko. Co tylko przeszkadza. W raku wolność. W człowieku nadzieja. Nie w jakichś skrzydlatych pokrakach.

I zamiast religijnej mądrości, została areligijna głupota.

No właśnie.

Ale dlaczego?

Bo człowiek głupi jest na całego.



Spis obrazów:

Grafika ze strony tytułowej: Naskalne malowidło Aborygenów

Obraz końcowy: Marcin z Fryszta, [i](#).



Marcin S. Wilusz

ur. 2 grudnia 1986 – obecnie

Autor kilkudziesięciu książek. Marcin, pod pseudonimem „Marcin z Fryszta” napisał wiele opowieści (proza wierszowana), sztuk teatralnych, dialogów kabaretowych i tomików wierszy. Jako „Marcin S. Wilusz” napisał zaś serię duchowych wspomagaczy: „Mistyczną podróż 365 kroków”, „Wykłady”, „Listy”, „31 poziomów do zjednoczenia z Bogiem” i „Przypowieści”. Jego pogląd na wiele tematów odkryć możemy natomiast w „Moim zdaniem”. Twórczość Marcina S. Wilusza to także opowiadania pisane prozą. Są to na przykład „Strajku co niemiara”, czy „Nowy Bóg”. Książki Marcina można

przeczytać za darmo w internecie. Są
dostępne na stronie internetowej:
wilusz.org

Kontakt z Marcinem:
szulif@gmail.com